

## A w Słowacji ożyły strumienie cichej pamięci...

Marta Botíková

Mój siedemnasty listopada? Ten, z mojej dzisiejszej perspektywy, rozpoczął się o wiele wcześniej: spotkaniami, dyskusjami, filmami i rozmowami w Pałacu Mozarta. To zaskakujące, ale proces ten najintensywniej przebiegał mniej więcej latem tegoż roku. Byłam wówczas w ciąży, cieszyliśmy się na przyjście naszego pierwszego potomka, mieszkałam na przemian w Bratysławie, skąd pochodzę, gdzie miałam swojego lekarza prowadzącego, a zwłaszcza moją mamę, i w Martinie, gdzie razem z mężem zaryzykowaliśmy w dojrzałym wieku zmianę rodzaju i miejsca pracy. Nie mieliśmy pojęcia, na jak długo... W ciąży, podekscytowana perspektywą odwiedzin rodzinnego domu, gdzie już byłam umówiona na poród i późniejszą opiekę, stałam w szerokim, lekkim szlafroku przy desce do prasowania, prasowałam świeżo kupione pieluszki i w telewizji śledziłam – trochę z obawami, ale myślę, że trochę i z zachwytem – *exodus* obywateli Niemiec Wschodnich przez Węgry do Austrii, a także wydarzenia w Rumunii, zwłaszcza w wieloetnicznych regionach Siedmiogrodu.

Sygnaly telewizji austriackiej i węgierskiej docierały do Bratysławy, ale, niestety, nie do Martina. W Martinie zamieszkaliśmy w małym, na pozór ładnym, choć mało praktycznym domku, położonym w cichej i zapomnianej uliczce między stacją kolejową a Domem Towarowym, gdzie spędziłam bardzo szczęśliwe chwile.

Córka Zuzana urodziła się 13 września 1989 roku, a ja po krótkim i intensywnym kursie pielęgnacji niemowlęcia z udziałem mojej mamy, po spotkaniach z najbliższą rodziną i znajomymi wróciłam do Martina. Na szczęście na początku listopada miasto przywitało mnie wspaniale „kwitnącym” Cmentarzem Narodowym, dokąd chodziłam na spacer i podziwiałam celebrację wieczności... Z wielkim zainteresowaniem oczekiwałam wszelkich wieści ze świata, co – jak myślę – dotyczy każdej kobiety przebywającej na urlopie macierzyńskim. Tego dnia, 16 listopada 1989 roku, mój ojciec obiecał odwiedzić nas w drodze powrotnej z podróży służbowej do Tatr. To on przywiózł informacje, zasłyszane w radio w samochodzie, o strajku studentów w Bratysławie, o ich marszu, żywym łańcuchu, który utworzyli... „A tu do Martina nic nie dotarło?” – zapytał. Niezupełnie, dzwonił już do mnie kolega ze studiów, który też wtedy mieszkał w Martinie, i z podobnym zachwytem opowiadał o tych młodych ludziach – wszystko to budziło nadzieję. W moim pokoleniu zdarzały się, na miarę ograniczonych możliwości, jednostkowe lub grupowe przejawy buntu, jednak na opór, czy protest nigdy nie starczyło nam odwagi.

Następnego dnia wiadomości wysłuchiwałam dopiero wieczorem, kiedy córeczka zasnęła – informowano o brutalnej interwencji milicji w trakcie studenckiej demonstracji na Národní

třide (Alej Narodowej) w Pradze. Podano informację o śmierci studenta... Pamiętam, że zaczęłam płakać. Zaczęłam się obawiać dalszego rozwoju wypadków, tego, co może się wydarzyć, czy nie spadną na nas znowu represje, czy nie wybuchnie wojna domowa, czy wydarzenia związane z 17 listopada nie przyniosą w ideologicznie zakotwiczonej państwowości całkowitego załamania podstaw bytowych. Na szczęście docierające do mnie wieści były pocieszające, długie rozmowy telefoniczne z mamą o wydarzeniach na bratysławskim Placu SNP utwierdzały mnie w przekonaniu, że teraz może być tylko lepiej... W tym czasie tradycyjnie rewolucyjny Martin już się przebudzał. Strajk generalny rozpoczął się w czasie, gdy pasmanterie zupełnie nie były na to przygotowane i symboliczną trójkolorową kokardę trzeba było wykonać z trzech odpowiednich wstążek, albo – jak to zrobił jeden z moich kolegów z pracy – zastąpić ją na przykład czapką narciarską. Nie miało znaczenia, że kolejność „jest francuska”. Wózek dziecięcy naszej córki miał kolor niebieski (tylko w takim kolorze były dostępne), prezentował się całkiem gustownie, kiedy przystroiliśmy go dodatkowo w biel i czerwień. W czasie popołudniowych wieców w mroźne jesienne dni niemowlę odpoczywało w nim wygodnie, a ja w towarzystwie koleżanek ze studiów słuchałam wystąpień na trybunie.

Przemawiali z niej także ci, którzy nie cieszyli się szacunkiem czy poważaniem, ale tak to podobno bywa w czasach rewolucji, że na powierzchnię wypływa nie tylko to, co dobre, ale i to, co złe. O wiele radośniejsze były natomiast powroty męża oraz przyjaciół i znajomych, którzy przynosili wieści z Bratysławy, teksty manifestów, mogliśmy więc czytać sensowne apele, które miały o wiele większą siłę niż można było przypuszczać. Kiedy usłyszeliśmy o usunięciu z Konstytucji zapisu o przewodniej roli partii komunistycznej, rzucaliśmy się na ulicy w objęcia z nieznanymi, cieszyliśmy się, że nadchodzi coś nieznanego, co mogliśmy jedynie podejrzewać.

Kiedy w jednej z księgarni pojawiła się książka Vaclava Havla *Listy do Olgi*, jej nakład szybko został wyczerpany. Książki czytywałam namiętnie, bądź to w gronie przyjaciół i rówieśników, albo później podczas towarzyskich spotkań ze znajomymi męża, znajomymi naszych znajomych... był to niekończący się proces wzajemnej wymiany informacji, wzajemnego wzbogacania się, doskonalenia, kształcenia. Jednakże po twórczość Vaclava Havla sięgnęłam o raz pierwszy właśnie dzięki tej książce, którą przeczytałam w listopadowym Martinie.

Z listopadem kojarzy mi się także grudzień oraz transport pomocy dla zagrożonej wybuchem wojny domowej Rumunii. W ramach akcji dobroczynnej zorganizowanej w Galerii Miejskiej moja rodzina ofiarowała dzieciom rumuńskim paczkę zabawek, które symbolicznie przesunęła do pojemnika z darami nasza trzymiesięczna córeczka Zuzka. A kiedy na rynku w okresie międzyświątecznym (kiedy wszystkie sklepy były zamknięte) ustawiono na rynku tir przygotowany do zbiórki żywności dla Rumunii, przyniosłam kilogram cukru pudru – jedyny produkt oryginalnie zapakowany, który nadawał się do transportu. Z dzisiejszej perspektywy moje zachowanie budzi uśmieszek politowania, jakie bowiem znaczenie miał kilogram cukru, ale w tamtym czasie wydawało się to sensownym, przynoszącym wewnętrzną radość działaniem. W owym czasie zazdrościłam tym, którzy mogli poruszać się bardziej swobodnie niż ja, bywali w Bratysławie, chodzili do teatrów, gdzie odbywały się ekscytujące wydarzenia, mogli pójść na koncert Kryla (jeśli dobrze pamiętam, odbył się w Hali Sportowej – Pasienky). W tym czasie byłam z kilkudniową wizytą w Bratysławie. Wracając z koncertu, odwiedził mnie w mieszkaniu mojej mamy długoletni znajomy, który z zachwytem opowiadał nie tylko o występie Kryla, ale i o tym, jak cała hala z nim śpiewała. A zwłaszcza młodzi ludzie, którzy nie mogli pamiętać jego pieśni z czasów, gdy nie były jeszcze zakazane. Na Słowacji nie

mieliśmy podziemia porównywalnego z czeskim, ale mieliśmy jakieś strumienie cichej pamięci, one miały wpływ na ludzi: w nich zachowały się nastroje i wspomnienia, zachowania i postawy ludzi, których życie miało wewnętrzny i zewnętrzny wymiar.

I dzisiaj nasze życie jest skomplikowane i złożone. Ale ważna jest świadomość, iż niezależnie od tego, czy chodzi o życie wewnętrzne czy zewnętrzne, jesteśmy wolni i możemy nasze życie wieść zgodnie z naszymi najlepszymi intencjami. Nie możemy być zjednoczeni, bo jesteśmy odmienni. Powodują nami różne motywacje, myśli i różny system wartości. Ale mamy możliwości, a teraz i doświadczenie, z którego wynika, że przeciwko złu trzeba walczyć.

Tłumaczyła **Bogumiła Suwara**

**Marta Botíková** – pracowała w Słowackiej Akademii Nauk, obecnie jest profesorką etnologii na Uniwersytecie Komeńskiego w Bratysławie. Publikowała prace etnologiczne o słowackiej rodzinie, kulturze Indian z północno-wschodniej Ameryki.